

Część pierwsza.

O maszynie do pisania, listach oraz niefortunnych zdarzeniach, snach

Drogi, oczywiście, DC.

Człowiek klepie jak idiota w klawisze, dziękując Bogu za przesiadkę z maszyny do pisania na komputer, gdyż, sam wiesz, poprawianie czegośkolwiek na maszynie to kierat, w którym można się jak osioł zakręcić na śmierć.

Ale do rzeczy.

Chociaż... zaraz – przecież piszę do rzeczy, czyli na temat sztuki epistolografii, bo właśnie przyszło mi parę refleksji do głowy po lekturze Twoich listów.

Dawniej brało się pióro do ręki i po prostu pisało... Ceremoniał wymagał skupienia, przygotowania ładnego (najczęściej) papieru, tudzież koperty oraz znaczków. Pismo, równy szereg liter, miało wskazywać na naszą pogodę i spokój ducha. Jeżeli szlag nas trafiał, natychmiast było to widoczne w jego charakterze. Stawało się ono rozwichrzone, bezładne, a litery potrafiły wariować jak wściekłe pinczerki. Jazgotały samym swym wyglądem.

A dzisiaj – klepiemy. Ładnie, schludnie, czysto. I jedynie od czasu do czasu o naszym stanie ducha (choć przyznaję, że wynikać on może również z treści), świadczy rzucone tu i ówdzie „mięso”.

- Kurwa! – piszemy. – DC, do dupy to całe zasrane życie. Chyba mnie pojebało na amen, żeby tak się wpięprzyć w problemy z tym facetem (czy z tą kobietą)!

Oczywiście, ja tak nie piszę, chociażby z tego w względu, że nie wpięprzam się w problemy z żadnym facetem... o cholera! A jednak...!

Uff! Nie, na szczęście to był tylko sen!

Hahaha, drogi DC – nigdy byś nie uwierzył, co się może przyśnić. Ale dziwne, że akurat takiej kobiecie jak ja. A może wcale nie tak dziwne...?

Posłuchaj – zostałam aniołem. Takim kretyńskim od wszelkiej pomocy. No i dobry Bóg przydzielił mi pewnego sukinsyna pod opiekę. Bo podobno mam doświadczenie i zdolności do tego, by wyprowadzać na prostą skrzywionych przez życie palantów. Dobra. Jakoś szło. Do czasu jednak, gdy zabuzowało mi porządnie w łepetynie i szlag mnie trafił. Sukinsyn okazywał się być niereformowalny na wszelkie możliwe sposoby. No więc wpadłam do Boga i zrobiłam rozpierduchę. Że chcę innego przydziału i niech mu diabła pośle, bo nawet ja wysiadam. Drań, przepraszam, Bóg tylko się roześmiał.

- To go upij, przeleć i porzuć – powiedział beztrasko.

No i nie wytrzymałam. Wystawiłam mu środkowy palec i trzasnęłam drzwiami.

I wiesz co? Zamiast się obrazić, to ten łobuz zachichotał i stwierdził, że nie ma sensu posyłać mu diabła. Rozumiesz to?

Obudziłam się, sama wściekła jak diabli. Cholera, może więc coś w tym jest?

Machiavelli w swoich Rozważaniach napisał, że „ludzie nader rzadko potrafią być całkiem źli albo całkiem dobrzy” i miał rację, ten stary cwaniak.

Ale to przecież list, nie filozoficzna dysputa, więc chyba wrócę do typowo listowych tematów. Otóż to. Pogoda, na przykład. Niestety – do dupy. Życie codzienne w wielkim mieście? Siedzę w domu i klepię teksty. Za moim oknem z widokiem na spokojną, małą uliczkę nie widać wielkiego miasta. Trwa w śnieżnym milczeniu ogród Konsulatu. Cisza.

I w tej ciszy pewnie Cię zostawię, drogi DC, żebyś zaznając jej potrafił uporządkować swoje rozwichrzone myśli, o ile to możliwe. Bowiem znamy się już na tyle dobrze, żebym wiedziała, że Ciebie też potrafi całkiem nieźle nosić.

Oby Ci się nigdy nie przyśniło, że jesteś aniołem, bo taki sen, to jak garnek z piekielnym wywarem – wykipi w twarz prędzej czy później.

Pozostawaj w zdrowiu.

Twoja R.

„Więc, więc myślisz, że potrafisz odróżnić

Raj od piekła

Niebo od bólu?

Czy odróżnisz zielone łąki

Od zimnych stalowych szyn

Uśmiech od maski?

Myślisz, że odróżnisz?”

Pink Floyd — Wish You Were Here

Droga R.

Dziękujesz Bogu za to, że wynalazł komputer. A ja zaś z sentymentem wspominam czasy, kiedy to pewna ponemiecka zdobycz pachniała mi smarem i metalem. Maszyna do pisania stała na okrągłym stoliku, w małym pokoju, w którym zatrzymał się czas. Tylko kolor ścian się zmienił obecnie, a wszystko inne jest jak dawniej, poukładane. Półka na ścianie, szafa za drzwiami, dyplom brata z bierzmowania i lampa, która zamiast przyozdabiać, straszy. Wąski pokój, ale za to w miarę długi, zakończony oknem i z drzwiami balkonowymi. Widok południowy z oddalonym miastem, trochę polskiego, a i trochę czeskiego Cieszyna. Po prawej kopalnia Morcinek, zresztą już nieczynna, na wprost wieża piastowska z zamkiem i browarem Brackim, rynek, drugi rynek, w lewo osiedle Banotówka, a za nią Ustroń, Wisła, nasze górskie kurorty. Z drugiej strony, północnej: blok, ulica, wieżowiec, wieżowiec i jeszcze jeden wieżowiec. Wykarczowany z dzikich narostów cmentarz żydowski, sklep oferujący w zawyżonej cenie towar spożywczy, sąsiad, pies, droga lekko kręta z autobusem, żółtym, miejskim, manewrującym między dziurami w jezdni.

Odbiegłem od tematu, więc wracam do wspomnianej maszyny do pisania. Otóż, źle odbijała litery „ó”, „s”, oraz „v”. Przy „s” i „v” było trzeba użyć znacznego nakładu sił, aby odbiły się odpowiednio na kartce. Natomiast historia z „ó” była krótka. „Ó” zastępowało „o”, zatem ręcznie trzeba było czarnym cienkopisem kreskę dodawać.

Stworzyłem na niej swój pierwszy tomik „wiersze”, który przepisywałem chyba ze sto razy, wciąż poprawiając jakieś ustrojstwa. I nie zgadniesz! I tak uchowało się jedno „o” bez kreski w słowie, „który”!

Na niej napisałem jeszcze „Konfrontacje” oraz „zbiór wierszy” mający ukazać się w wydawnictwie pewnego Stowarzyszenia, z którym w wówczas współpracowałem. Za każdy zarobiony na nich grosz, a były to strasznej złej jakości ksera, szedłem na piwo, często sam, rzadziej z kolegami. W tym okresie zapoznałem się z Mirkiem Gabrysiem, co zresztą wspominam bardzo dobrze, nawet jak tylko na moment zamknę oczy. Ale to nie zakochanie, oczywiście, ani uwielbienie. Czysta przyjaźń, zresztą jak ci już kiedyś pisałem „stanowczo wolę w tych sprawach kobiety”.

No cóż, piszę tutaj odnośnie kolejnego akapitu, w którym poruszasz temat ceremoniału pisania listu, za moich, a tym bardziej za twoich czasów, kwintesencją każdego przepięknego listu, była papeteria, a także stosowny zapach, mający na celu pobudzenie wyobraźni zaczytanej w słowach przemilej osóbk. Pomijając te listy o urzędowym przesłaniu. W mejże życia historii pisywałem z jedną dziewczyną, poznaną z anonsów telegazety. Tak, masz rację. Trudno w to uwierzyć, ale to szczerą prawdą. Pierwsze listy były obrazowe i udźwiękowione. Wyglądałam tak i siak, włosy do ramion, okulary lenonki. Potem poszło dalej i dalej, aż się spotkaliśmy i nastąpiło precudowne zakochanie. Nasze listy były długie. Powiedziałbym, epopeje. Jarek, wspaniały zresztą przyjaciel z liceum, zapytał kiedyś – O czym jej tyle piszesz, Damianie – a ja na to bez chwili zawahania – O tym, że właśnie zapytałeś „O czym jej tyle piszesz, Damianie” – i parsknęliśmy salwą śmiechu. Listy były grubości zeszytów szesnastokartkowych. Moja mama często pukała się w czoło, mówiąc – Ty wariacie. - Ale najpiękniejsze listy to te, oczywiście, które były pełne wyznań. Krótkie, często jednokartkowe, skropione perfumami, pisane jak najstaranniejszym pismem, o miłości, uwielbieniu, rosie na piersiach.

Obecnie nie piszę już takich papierowych listów. Wyparte zostały przez wszechobecną elektronikę. Panoszą się swoją zerojedynkowością na portalach, rozsyłane pocztą e-mail. Do tego również dorosłem. Przepychany, zdeptany przez płynące dni, stałem się bardziej siarczysty w pisaniu polskiego słowa. Wszechobecną „kurwę” czy „ciula” traktuję jak przecinek, czego jednak staram się nie nadużywać, eksponując resztki taktu oraz nabytych manier. Chociaż z drugiej strony, będąc synem pochodzącym z klasy robotniczej matki Niemki o zawodzie cukiernika oraz ojca spawacza Polaka – prawie Czecha, wchłonięty w patologię tzw. rodzicielskiego wychowania, w mowie potocznej uwielbiam nadwyreżać te przerywniki dla pokreślenia opinii, danej sytuacji, nadając zdaniu odpowiedni ton. Powoduje to czasem odrzę do samego siebie. Tak, przyznaję się do tego. Tu i teraz. Przerażasz mnie, Cielepo!

Kończąc list, dodam tylko, że tę noc spędziłem bezsennie. Nie było wiatru, ruchu drzew, ciała kobiecego. Pustka. Rankiem zbudził mnie raban na klatce schodowej. Ktoś tam kogoś powyzywał. Były jakieś groźby, samosądy.

Ps. Nie zdążyłem przed wieczornym wyjściem wysłać tego listu, za co mocno Cię przepraszam. Z drugiej strony nie wiedziałabyś, w jak w szybkim tempie, wyciszony, w melancholijnym nastroju trzydziestosześcioletek potrafi osiągnąć stan maksymalnego wkurwienia. Zaczęło się od upadku podczas wychodzenia z auta. W momencie zamykania drzwi lewa noga obsunęła się, aż niemalże cały wylądowałem pod samochodem. Wyśmiały mnie jakieś panny idące w stronę dyskoteki. Niech je piekło pochłonie. Podniosłem się i udałem do baru o nazwie „Jama”, którego wnętrze opisałem w jednym z listów do M. W Jamie, jak zwykle w sobotnią noc, zapelnienie wnętrza maksymalne. Lecz nie spotkałem nikogo na tyle wartościowego, aby moja noga tam dłużej pozostała, chociaż kuszenie łyka piwa lub czegoś mocnego było bardzo silne, jednakże stanowczo odmówiłem. Podczas wychodzenia na ulicę Głęboką, minąłem te dwie panny, co się chichotały jak upadłem. Spojrzałem na nie z pod byka robiąc krok do tyłu, wtedy jedna zagadnęła – Pupcia boli? – a mnie krew prawie rozsadziła głowę, jak gotująca woda w czajniku, rozumiesz? Ból łokcia się odezwał, a pupa faktycznie bolała. Poszedłem do sklepu „Smok” w poszukiwaniu dobrego toniku, w celu konfrontacji z ginem uprzednio zakupionym przez Anetę. Chodzę,

drażę wewnątrz sklepu niczym robak padlinę, rozkoszujący się każdym kęsem mięsa i nagle słyszę chichot. Odwracam się – to jakaś trauma – mówię sam do siebie, gdyż koło mnie stają znowu te dwie panusie, co na dyskotekę i w Jamie a teraz w sklepie się znajdują. Tym razem się nie cofnąłem, lecz wręcz przeciwnie zrobiłem krok do przodu, potem drugi, trzeci, aż stanąłem twarzą w twarz z nocnym koszmarem i powiedziałem z gracją dżentelmeńską.

– Drogie panny. Skoro spotykamy się w przeróżnych miejscach dzisiejszego wieczoru, to może pójdziemy do mnie, bo mieszkam całkiem niedaleko, wypijemy brandy, tworząc romantyczną atmosferę, weźmiemy w jacuzzi aromatyczną kąpiel, a potem zabawimy się naszymi ciałami w najbardziej sprośny sposób, jaki tylko można sobie wyobrazić? Czuję, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Jedna z nich podeszła kokieterijnym krokiem, prawą dłonią dotknęła zamka kurtki lekko go rozpinając, przy czym rzekła.

- Wybacz, kochanie, ale mógłbyś być moim ojcem, więc sam rozumiesz, kotku... – I wycofała się z miną grzesznicy, a potem wyszły ze sklepu nic nie kupując.

Z tonikiem po pachą podążyłem najciemniejszymi zakamarkami w stronę samochodu. Wsiadłem do niego i niemalże się rozpłakałem. Odpaliłem samochód, nerwowo zapiąłem pas, wrzuciłem wsteczny i ruszyłem. Usłyszałem uderzenie w dach i – jak jedziesz kotku? - w bocznej szybie widniały roześmiane dwie nastolatki.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

DamianCielepa, dodano 14.02.2010 10:13

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.